

Adres strony: http://www.przk.pl/nr/wiara_i_kosciol/dopiecie_trzech_guzikow.html

[Przewodnik Katolicki 46/2010](#) » [Wiara i Kościół](#) »

Dopięcie trzech guzików

autor: Łukasz Kaźmierczak

Z ks. dr. Janem Kaczkowskim, szefem Puckiego Hospicjum pw. św. Ojca Pio, rozmawia Łukasz Kaźmierczak

Pewien bardzo doświadczony kapłan powiedział mi kiedyś, że im dłużej przebywa w hospicjum, tym silniej odczuwa, że pracuje na porodówce, nie w umieralni...

– Oczywiście, to porównanie umierania do porodu obecne było w chrześcijaństwie od zawsze. I coś w tym rzeczywiście musi być. Wyobraźmy sobie na chwilę, że jesteśmy płodem i mamy swoje przyjazne środowisko. Fakt, jest nam trochę ciasno, ale ono jest nasze, obłaskawione, doskonale znane – słyszymy bicie serca matki, perystaltykę jelit, szum krwi, a na kilkadziesiąt godzin przed porodem jesteśmy jeszcze na tyle sprawni, że potrafimy przewrócić się główką w dół.

No i odbieramy jakieś sygnały „z zewnątrz”...

– Niski głos ojca, muzykę Beethovena, odgłos silnika samochodowego, czy cokolwiek innego. Za chwilę jednak to nasze obłaskawione środowisko, ta przyjazna macica staje się opresyjna, zaczyna się kurczyć, aż w końcu nasza głowa przeciska się przez bardzo wąski kanał. To musi być potworne doświadczenie. Podobno stres okołoporodowy może być porównywalny tylko ze stresem towarzyszącym śmierci. Wpadamy więc do jakiejś zupełnie innej rzeczywistości i nagle jasno, zimno, głośno. Dziecko reaguje na tę zmianę wrzaskiem, wcale nie zwykłym krzykiem. Wrzaskiem potwornego przerażenia. Otula je rzeczywistość zupełnie inna, maksymalnie szersza niż brzuch matki, na tyle frapująca, że już nie chce wracać do matczynego łona. Bardzo bym chciał, żeby śmierć była podobnym doświadczeniem. Ten strach, to przeciskanie, nawet dla nas wierzących jest trudne. Bo tak naprawdę tylko przewidujemy i wierzymy, że TAM coś jest.

„Porody” bywają jednak różne – mniej i bardziej skomplikowane, krótsze i dłuższe, naturalne i wywoływane sztucznie...

– Ludzie, których często odprowadzam za rękę do ostatniej klamki, umierają bardzo indywidualnie i niczego nie udają. Nie bez przyczyny Wisława Szymborska pisze, że „rodzimy się bez wprawy i umieramy bez rutyny”. Moment śmierci to jest naprawdę ta chwila, kiedy jesteśmy dokładnie tacy, jacy jesteśmy. Kiedy nie ma już żadnych teatralnych gestów, żadnej hamletyzacji. Przynajmniej ze strony zmarłego. Zauważam przy tym pewną ogólną prawidłowość: jeśli ktoś był pogodny i dobry za życia, to przeważnie ma pogodną i dobrą śmierć. Niestety, to samo działa także w drugą stronę...



Zapraszamy do rozmowy w "Rozmównicy" kanału Religia.tv: poniedziałek, 15 listopada 2010, godz. 22

Podobno umierający czuje, że to właśnie jest „ta” ostatnia chwila – jakkolwiek banalnie by to nie brzmiało?

– Owa samoświadomość śmierci jest rzeczywiście bardzo charakterystyczna. Przykład dosłownie sprzed kilku dni: jedna z pań przebywających w hospicjum mówi do mnie: „Ja umieram”. Pytam, czy coś ją boli. Zaprzecza. Skąd więc wie? „Nie wiem – odpowiada – to się jakoś tak czuje”.

Była u nas krótko, zaledwie kilka dni. Zdążyła jednak jeszcze przekazać, w co chciałaby być ubrana do trumny, w szarą suknię z trzema dużymi guzikami. To nie był wytwór jej wyobraźni. Rodzina potwierdziła, że taka suknia rzeczywiście wisi w szafie. Taka kochana pani, wiecznie uśmiechnięta. Kiedy się nad nią pochylałem, mówiła: „Jak ty ładnie pachniesz” albo: „Czy mogę cię pogłaskać?” Potem umarła. Ktoś, kto przez całe życie nie był wrażliwy, prawdopodobnie nigdy nie zdobyłby się na taki gest w godzinie śmierci: głaskanie... Całym życiem pracujemy na naszą śmierć.

W dobie galopującego racjonalizmu opowiadać takie rzeczy? Nie jest Książd przesadnie „trendy”...

– No, to dołożę jeszcze mocniejszą rzecz. Otóż, zdarza się często, że ludzie, którzy odchodzą w sposób świadomy, mówią, że przychodzą do nich zmarli.

Zmarli? Znaczą – duchy?

– Nie, nie w sensie jakichś tam strachów. Tutaj na Kaszubach mówi się: moi zmarli już tu byli, moja mama tu była lub odwiedził mnie brat. Początkowo jako młody kapelan szpitalny lekceważyłem nieco te wynurzenia. Składałem je na karb jakichś ubocznych efektów farmakologicznych. Jednak po kilku takich sytuacjach przekonałem się, że to jest bardzo ważny znak.

Przechodzę któregoś dnia przez szpitalny oddział wewnętrzny. Na łóżku siedzi starsza pani, obiera jabłko i zajada je z apetytem. I mówi do mnie po kaszubsku: „Za chwilę będę umierać, proszę mnie namaścić”. Lekko sceptyczny wobec tej prośby, sugeruję, że może jednak trochę poczekamy, przygotowujemy się. Ona jednak mówi: „Bo wie ksiądz, moi już tutaj byli”. W tym momencie zapaliły mi się wszystkie ostrzegawcze i pomyślałem sobie: „Oj, oj, oj, namażczę cię”. Kiedy wracałem tamtędy dosłownie kilkanaście minut później, ta kobieta już nie żyła.

Dla mnie to jest kolejny fundamentalny dowód na to, że te dwa światy są właściwie światami równoległymi i wzajemnie się przenikają. Szczególnie w tych momentach, w których stąpamy po cienkim lodzie naszego życia, gdzieś na granicy.

Kościół powinien wychowywać do śmierci, to oczywiste. Z drugiej jednak strony ciągle słyszymy: wy w tym Kościele tylko wiecznie rozmawiacie o śmierci i umieraniu...

– Myślę, że jako duszpasterze i kaznodzieje zbyt wiele mówimy o śmierci jako o fakcie, którym ludzi przygniatamy, powtarzając nieustannie, że prędzej czy później on nastąpi. To jest prawda dość oczywista i każdy średnio inteligentny człowiek zdaje sobie z tego sprawę.

Stanowczo zbyt mało mówimy natomiast o tzw. kulturze śmierci, w dobrym tego słowa znaczeniu. O takim swoistym „nauczeniu się”, przygotowaniu do śmierci, pewnej jej mistyce.

Dawniej taką rolę pełniła Ars Moriendi – sztuka dobrego umierania.

– Wbrew pozorom to wcale nie jest jakaś odległa rzecz i nie trzeba koniecznie cofać się aż do średniowiecznej Ars Moriendi. Nie musimy od razu zakładać bractw dobrej śmierci, które będą chodziły w kapturach i z pochodniami.

Dobra śmierć? Dziś oznacza to, o ironio, coś zupełnie innego...

– Prawdziwa dobra śmierć, to jest śmierć z dobrymi relacjami. Tak jak wcześniej wspomniałem, im lepsze relacje za życia: z ludźmi, z Bogiem, ze sobą samym – tym lepsza śmierć. I to jest coś, czego się najbardziej uczę w hospicjum. Właśnie pielęgnowania relacji z najbliższymi,

z przyjaciółmi.

Tutaj w hospicjum używamy terminu, że śmierć powinna być domknięta. Posklejana. Nadejść wtedy, gdy umierający i jego rodzina zdążą sobie wszystko wybaczyć i powiedzieć, jak bardzo się kochali.

Używając współczesnych pojęć: robi teraz Ksiądz reklamę dla hospicjum...

– Bo hospicjum jest mistyczne. To miejsce, w którym chciałbym sam umrzeć. Nawet wiem, w którym pokoju: w szóstce... I wcale nie jest wykluczone, że to będzie tutaj, bo zdiagnozowano u mnie raka...Taki psikus losu.

...

– Pół roku temu lekarze usunęli mi guz nerki. Na razie wszystko teoretycznie idzie w dobrym kierunku i nie żyję z jakąś dojmującą fobią, że za chwilę umrę. Teraz mogę przynajmniej bardziej empatycznie wczuć się w rolę ciężko chorego pacjenta. Próbowałem zresztą robić to już wcześniej, ale takie teoretyczne rozważania są bardzo niebezpieczne.

Dlaczego?

– Mówić z pozycji teoretyka w obecności chorego o jego śmierci i cierpieniu? Pan wybaczy... Zresztą, my w ogóle nie umiemy mówić o śmierci, bo jedna część kultury słyca ją i od niej ucieka, a druga koniecznie chce ją maksymalnie umistyczyć. Bardzo łatwo powiedzieć np., że umieranie jest czasem błogosławionym. I w sensie teologicznym to oczywiście prawda. Proszę mi jednak wierzyć, że gdyby teraz rozpoznano u pana jakiś paskudny nowotwór, to najpierw byłby pan wściekły na siebie i na cały świat, a potem szukał możliwości terapii. I być może po pewnym czasie uznałby pan rzeczywiście, że to był czas błogosławiony. A może by pan nie zdążył dojść do tego etapu?

Chyba już rozumiem, co Ksiądz ma na myśli...

– My, katolicy zbyt często traktujemy wiarę jak ideologię. Staramy się wcisnąć w czyjeś usta gotowe odpowiedzi. To tak jednak nie działa. Dlatego byłbym bardzo ostrożny z przerzucaniem własnej wrażliwości na innych. Bo można w ten sposób osiągnąć efekt zupełnie odwrotny od zamierzonego.

Bycie w hospicjum uczy pewnej pokory kaznodziejskiej i duszpasterskiej, bo tutaj pojawiają się ludzie o bardzo różnym światopoglądzie. Osobiście spotkałem dwóch pacjentów, którzy do końca nie chcieli pojednać się z Panem Bogiem i w tym sensie zewnętrzno-formalnym tego nie uczynili. Jednak naprawdę nie wiem, co się działo w ich duszach...

ocień artykuł: ★ ★ ★ ★ ☆ 4.7/5 (10)

[poprzedni](#) | [następny](#)

[wróć](#)

 Komentarze

[dodaj komentarz](#) 

[Artykuł skłania do refleksji bardzo głębokiej...nie wiem...](#)

Iwa (14-11-2010 13:16)

Artykuł skłania do refleksji bardzo głębokiej...nie wiem ile jeszcze pozostało mi dni na tej pięknej Ziemi...wiem natomiast że moje narzucie nliniane niem nonekalo i przychodzi czas aby je nnekleiać aby wszystkie relacje

Przewodnik Katolicki